

# PION

CENA 50 GR.

ROK V NR. 50 (219)

WARSZAWA

16 GRUDNIA

1937 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

STEFAN LICHAŃSKI — MIT O „CZŁOWIEKU INTEGRALNYM”  
LUDWIK FRYDE — TAJEMNICA STYLU  
KAROL IRZYKOWSKI — AFORYZMY  
STANISŁAW CIECHOMSKI — SZTUKA „ZWYRODNIĄŁA”  
ROZMOWA Z MARIĄ KUNCEWICZOWĄ

GIACOMO LEOPARDI

## K O P E R N I K

Scena I

PIERWSZA GODZINA: Dzień dobry, Ekscelencjo.

SEŃCE: No tak, raczej dobranoc.

PIERWSZA GODZINA: Konie czekaj.

SEŃCE: Dobrze.

PIERWSZA GODZINA: Już kawał czasu jak zorza wzeszła.

SEŃCE: Dobrze. Może sobie wschodzić i odchodzić jak jej się podoba.

PIERWSZA GODZINA: Co Ekscelencja chce przez to powiedzieć?

SEŃCE: Chcę powiedzieć, że byś mi dała świąty spokój.

PIERWSZA GODZINA: Ależ Ekscelencjo, noc już tak długo trwała, że więcej nie może, a jeżeli będziemy marudzili, to proszę Ekscelencji, gotów się z tego zrobić zamęt.

SEŃCE: Niech się robi co chce, ja się nie ruszę.

PIERWSZA GODZINA: Och, co to ma znaczyć! Czyżby się Ekscelencja czuł niedobrze?

SEŃCE: Nie, nie; nic mi nie jest; po prostu nie chce mi się ruszyć, toteż ty idź robić, co do ciebie należy.

PIERWSZA GODZINA: Jakże mam iść, kiedy wy, panie, nie idziecie? Jestem przecie pierwszą godziną dnia, a jak ma być dzień, skoro Ekscelencja nie rządy, wedle zwyczajów, wyjść z domu?

SEŃCE: Jeżeli nie będziesz dzienna, będziesz nocna, albo też nocne godziny wezmą na siebie podwójne obowiązki, a ty i twoje towarzyszyki będziecie odpoczywały. Bo, wiesz co? zmęczyło mnie to wieczne spacerowanie w kolo, aby nieść światło czterem niedźmym stworzonkom, zamieszkującym grudkę błota, tak maleńką, że ja, który mam dobry wzrok, nie mogę jej dojrzeć. Toteż tej nocy postanowiłem więcej tego nie robić, a jeżeli ludzie chcą widzieć światło, niech palą ogniska, albo radzą sobie w inny sposób.

PIERWSZA GODZINA: A co Ekscelencja chce, żeby wymyślił, niebożęta? Przy tym palić kaganki, albo zaopatrzyć się w tyle świec, żeby płonęły przez cały dzień, to będzie straszny wydatek. Gdyby już wynaleziono ten jakiś rodzaj powietrza, które służy do palenia i do oświetlania ulic, izb, sklepów, piwnic, w ogóle wszystkiego, i to małym nakładem, powiedzielibyśmy sobie: — pół biedy! Ale wiadoma rzecz, że jeszcze minie mniej więcej trzydzieści lat, zanim ludzkie wpadną na ten sposób, a tymczasem zabraknie im oliwy i wosku i smoly i loju, i nie będą już mieli czym palić.

SEŃCE: Będą polowali na robaczki świątojańskie czy jakie inne świetliki.

PIERWSZA GODZINA: A jak się ochronią od zimna? Bez dotychczasowej pomocy

Waszej Ekscelencji ognie ze wszystkich lasów nie wystarczy, aby ich rozgrzać. Na dobitkę pomrą z głodu, bo ziemia przestanie wydawać plody. A tak w przeciągu paru lat wyginie ród tych biednych stworzeń. Jeszcze jakiś czas będą się snuli po ziemi, tu i tam, po omacku, szukając, czym by się można ogrzać i pożywić, na koniec, kiedy spożyją wszystko co się da polknąć i kiedy zagasnie

widzialnych istotek, odległych ode mnie o miliony mil, bez mojego światła nie widzi, czy nie daje sobie rady z mrozem? Wreszcie skoro mam, jakby to powiedzieć, służyć za piec czy za ognisko tej rzeszy ludzkiej — to rozum by kazał, żeby ta rzesza, z chwilą kiedy się chce ogrzać, sama otaczała ognisko, nie żeby ognisko miało obchodzić dom. Toteż, jeżeli moja obecność jest Ziemi potrzebna,

PIERWSZA GODZINA: Zapewne, Wasza Ekscelencja ma swoje słuszne powody, zresztą może robić ze swoją osobą, co uważa za właściwe. Nie mniej jednak, rządy Ekscelencja zanawążyć, ile rzeszy pięknych musi pójść na marne, jeżeli się zaprowadzi ten nowy porządek. Dzień nie będzie już miał swojego pięknego złotego rydwanu i swoich pięknych rumaków, które kapwały się w falach morza, a nie mówię już o innych szczegółach — dla nas biednych godzin nie będzie odtąd miejsca w niebie. Z niebieskich dziewoj staniemy się ziemiankami, o ile, jak przewiduję, nie rozwiemy się raczej w dym. Niech się zresztą dzieje co chce, główny sek w tym, jak namówić Ziemię, aby zaczęła kolować. To nie pójdzie gładko: nie jest w to wdrożona i musi się jej wydać dziwna ta ciągła bieganina i tyle trudu, kiedy dotąd jeszcze ani nie drgnęła na swoim miejscu. I jeżeli Ekscelencja w tej chwili, jak się widzi, zaczyna nieco dawać folę lenistwu, to słyszę, że Ziemia nie zdradza dzisiaj ani na włos większej niż kiedy indziej ochoty do męczenia się.

SEŃCE: Co do tego, to potrzeba pełnie ja, każę się zerwać i biegać, ile wypadnie. W każdym razie najprostszą i najpewniejszą drogą będzie wynaleźć jakiegoś poetę czy filozofa, który by wylumaczył Ziemi, że się musi ruszyć; gdyby zaś nie mógł sobie z nią poradzić inaczej, niech ją zmusi przemocą. Bo, koniec końców, sedno tej całej historii jest w ręku filozofów i poetów; prawie wszystko od nich zawisło. Poeci to swego czasu (byłem wtedy młody i dawałem im ucho) swoimi słicznymi pieśniami kazali mi dobrowoli, jakby dla zabawy, albo dla jakiegoś godnego pochwały ćwiczenia, mnie, co taki jestem wielki i tegi, uprawiać tę niedorzeczną robotę, tę rozpacziwą bieganinę dokola owego ziarenka piasku. Teraz jednak, kiedy z latami dojrzałem i zwróciłem się do filozofii, szukam we wszystkim pożytku, nie piękna, a uczucia poetów, o ile nie wywołują młodości, to budzą we mnie śmiech. Kiedy co robie, chcę mieć słuszne i zasadnicze powody. A właśnie nie widzę najmniejszego powodu, żeby nad żywot próżniaczy i wygodny przekładać życie czynne, które nie mogłoby dać owoców, oplacających udrękę, chyba jedynie — myśl (nie ma bowiem na świecie owocu, co by był wart dwa grosze). Przeto postanowiłem zdać na innych trudy i niewygody, sam zaś siedzieć cicho w domu i mieć spokojną głowę. Jakem ci powiedział, na te zmiany we mnie, oprócz działania czasu, wpłynęli także filozofowie, ród, który w naszych czasach zaczął rósnać w znaczenie i będzie rósł coraz bardziej. Otoż, jeżeli chcemy teraz, żeby Ziemia się ru-



GIACOMO LEOPARDI (1798 — 1837)  
według sztychu L. Lolli

ostatnia iskierka ognia, skonają wszyscy w ciemnościach, zlodowaciali jak bryki kryształu górskiego.

SEŃCE: Co to mnie może obchodzić, czy ja jestem niańką rodu ludzkiego, albo czy jestem kucharzem, który ma gotować i przyrządzać strawę? Dlaczego mam się podejmować tym, że garstka jakichś nie-

niechże tutaj przyjdzie i postara się o nią; ja tam niczego od Ziemi nie chcę, żebym miał jej szukać.

PIERWSZA GODZINA: O ile dobrze rozumie, Ekscelencja chce powiedzieć, że to, co czynił do tej pory, teraz powiuna robić Ziemia?

SEŃCE: Tak, teraz i od teraz już zawsze.



szła i zaczęła biegać naokoło, zamiast mnie, to prawdę mówiąc, nadawaliśmy się tu poniekąd lepiej poeta, aniżeli filozof. Poeci bowiem dziś przez taką bajeczkę, jutro przez inną, wstawiają w nas, że rzeczy tego świata mają wagę i cenę, że są przyjemne i bardzo piękne, a krzesząc tysiąc wesołych nadziei, często budzą w innych chętkę do męczenia się. Filozofowie, przeciwnie — zniechęcają. Z drugiej strony jednak, skoro filozofowie tak poszli w górę, wątpię, aby Ziemia chciała dzisiaj słuchać jakiegos poety, więcej niż chciałym ich słuchać ja. A choćby go nawet i wysłuchała, nie by stąd nie wynikało. Lepiej zatem będzie wziąć sobie jakiegos filozofa. Bo chociaż zazwyczaj filozofowie niebył są podatni, a jeszcze mniej skłonni do popychania innych do czynu, atoli być może, iż w tym wypadku, tak bardzo krainowym, postąpię wbrew swoim obyczajom. Chyba tylko że Ziemia uzna, iż korzystniej będzie dla niej pójść na straconie, niż tak się mordować, a nie mogę powiedzieć, żeby się pod tym względem myliła. Dosyć tego zobaczymy, co się stanie. Ty zatem zrobisz jedną rzecz: pójdziesz na Ziemię, albo pošlesz jedną ze swych towarzyszek, którą tam sobie upatrzyś. Jeżeli natrafia na któregoś z tych filozofów, co to siedzą za domem po nocy, zapatrzeni w niebo i w gwiazdy — a rzecz zrozumiała, że go dzisiaj przydybie, bo jest czegoś zupełnie nowym taku duża noc — to niech go bez namysłu weźmie, zarzuci sobie na plecy i niech tak wraca, żeby go dostawić wprost tutaj do mnie. Postaram się go nakreślić, żeby zrobił, czego mi potrzeba. Czyś dobrze zrozumiał?

PIERWSZA GODZINA: Tak jest, Ekskelenjo. Stanie się wedle waszej woli.

Scena II

KOPERNIK, na tarasie swego domu, obserwuje niebo na wschodzie za pomocą papierowej rury, ponieważ nie wynaleziono jeszcze wedy lunety.

KOPERNIK: To jakieś wielkie zjawisko! Albo wszystkie zegary źle chodzą, albo słońce powinno już było wejść i to przeszło od godziny. Tymczasem na wschodzie nie widać śladu dnia, chociaż niebo jest czyste i gładkie jak zwierciadło. Wszystkie gwiazdy świecą, jak gdyby była północ. Ha, pójdziemy teraz do Almagesta albo do Sacrobosca i powiemy, żeby nam wyłożył przyczynę tego wydarzenia. Słyszałem kilkakrotnie jak mówiono o nocy, którą Zeus spędził z małżonką Anfitriona; przypominam sobie także, iż niedawno czytałem we współczesnej książce jakiegos Hiszpana o tym co opowiadają Peruwiancy. Miała kiedyś, bardzo dawno temu, panować w ich kraju noc, ogromnie długa, a nawet niekończąca, aż narazicie słońce wyszło z pewnego jeziora imieniem Titicaea. Dotychczas myślałem, że wszystko to jest czeza gadaniem, byłbym dal za to głowę, jak wszyscy rozumni ludzie. Teraz przekonany się, że rozum i nauka są, mówią otwarcie, do niczego, i zaczynam wierzyć, że takie i tym podobne historie mogą być szczerą prawdą. A skoro tak, to poobchodzę jakie się tylko da jeziora i kaluże i zobaczę, czy mi się nie nadarzy możliwość wyłowić słońce. Ale co to za hałas, wydaje się, jakby od skrzydeł jakiegos wielkiego ptaka?

Scena III

OSTATNIA GODZINA: Koperniku, jestem Ostatnia Godzina.  
 KOPERNIK: Ostatnia Godzina? Trudno, trzeba się poddać. Tylko, jeżeli można, zostaw mi tyle czasu, żebym mógł zrobić testament i uporządkować swoje sprawy przed śmiercią.  
 OSTATNIA GODZINA: Przed śmiercią? Ja nie jestem ostatnią godziną życia.  
 KOPERNIK: No wiec kto ty jesteś? Czy ostatnia godzina modlitwy z brewiarza?  
 OSTATNIA GODZINA: Domyślam się, że ta jest ci miłsza od innych, kiedy siedzisz w chórze.  
 KOPERNIK: A skądże ty wiesz, że jestem kanonikiem? I jakim sposobem mnie znasz? Przed chwilą zwróciłaś się do mnie po nazwisku.  
 OSTATNIA GODZINA: Zasięgnęłam języka o tobie od ludzi, którzy byli na dole, na ulicy. Krótko mówiąc, jestem ostatnią godziną dnia.  
 KOPERNIK: Acha, teraz rozumiem: pierwsza godzina zachorowała, dlatego jeszcze dnia nie widać.  
 OSTATNIA GODZINA: Posłuchaj mnie. Dnia już odtąd nie będzie ani dziś ani jutro, jeżeli ty nie zaradzisz.  
 KOPERNIK: Dobre by to było, gdyby mnie przypadł obowiązek robienia dnia.  
 OSTATNIA GODZINA: Powiem ci, w jaki sposób. Ale przede wszystkim musisz

bezwzględnie udać się za mną do domu Słońca, mojego pana. Resztę zrozumiesz po drodze, a niektóre rzeczy powie ci Jego Ekskelencja, kiedy przybędziemy na miejsce.

KOPERNIK: Ślicznie. Tylko, o ile się mi myli, droga musiałaby być bardzo długa. A jakim cudem zdołam zabrać dostateczną ilość zapasów, żeby nie paść z głodu na parę lat przed przybyciem? W dodatku nie przypuszczam, żeby ziemię Jego Ekskelenji rozdali choćby tyle, ile mi trzeba na przyrządzenie samego już tylko śniadania.

OSTATNIA GODZINA: Nie przejmuj się tymi sprawami. Nie będziesz długo bawił w domu Słońca, podróż zaś odbydziemy w mig, ponieważ, czego może nie wiesz — jestem duchem.

KOPERNIK: Ale ja jestem ciałem.

OSTATNIA GODZINA: Dobrze, dobrze, nie powinienes zaprzatać sobie głowy podobnymi roztrząsaniem; nie jesteś przecie filozofem metafizykiem. Podejdz bliżej, siadź mi na barana, a reszta do mnie należy.

KOPERNIK: Hop! Już siedzę. Zobaczymy, co wyniknie z tej nowości.

Scena IV

KOPERNIK: Dostojny panie!  
 SŁOŃCE: Wybacz, Koperniku, jeżeli nie proszę, abys nsiadł. My tutaj nie używamy krzesel. Ale załatwimy rzecz prędko. Od mojej służebnicy wiesz już, o co idzie. Co do mnie, na zasadzie tego, co słysze o tobie od tej dziewczyny, wiem, że się doskonale nadajesz do sprawy, która nas zajmuje.

KOPERNIK: Panie, widzę w tej sprawie ogromne trudności.

SŁOŃCE: Trudności nie powinny odstraszać człowieka twojej miary. Przeciwnie, powiada się, że odważnej jednostce dodają bodźca. Ale, właściwie, na czym polegają owe trudności?

KOPERNIK: Najpierw, jakkolwiek filozofia jest bardzo potężna, nie mam pewności, czy potęgą jej dochodzi do tego stopnia, że potrafi namówić ziemię, aby zaczęła biegać, zamiast — jak dotąd — siedzieć wygodnie na miejscu, i żeby zaczęła się męczyć, zamiast próżnować, zwłaszcza w naszych czasach, które już przestały być erą bohaterską.

SŁOŃCE: Gdybyś jej nie zdołał namówić, to ją zmusisz.

KOPERNIK: Z miłą chęcią, czcigodny panie, gdybym był Heraklesem, albo co najmniej Rolandem, ale nie kanonikiem warmińskim.

SŁOŃCE: Co to ma do rzeczy? Czy nie opowiada się o jakimś waszym starożytnym matematyku, który oświadczył, że gdyby mu pozwolono stanąć w pewnym punkcie poza światem, niewątpliwie poruszyłby z niego niebo i ziemię? Od ciebie nikt nie żąda, abys poruszył niebo, a znajdujesz się właśnie w owym punkcie, leżącym poza ziemią. Czyli że jeżeli nie jesteś mniej wart od owego starożytnego medrea, będziesz ją mógł niechybnie ruszyć, nie pytając, czy ona chce czy nie chce.

KOPERNIK: Tak, panie, to by się dało zrobić, ale niezbędna byłaby nam do tego dźwignia. Musiałaby być tak długa, że nie tylko mnie, lecz i waszej dostojności, lubo wiele bogata, nie stać nawet na połowę wydatku tak na sam materiał, jak i na wyrób. Jest inna trudność, jeszcze poważniejsza, o której zaraz powiem, a raczej jak gdyby cały kłab trudności. Ziemia po dziś dzień zajmowała pierwsze miejsce na świecie, to znaczy środek, i (jak to wiemy) stała nieporuszona, nie mając nic innego do roboty, jak tylko rozglądać się dokoła siebie. Tymczasem wszystkie inne globy wszechświata, największe tak samo jak najmniejsze, świecące zarówno jak ciemne, toczyły się bezustannie dokoła niej, z góry, z dołu, bokami, z północnym, z południowym, z zapędem, który nam myśl oszalał. A kiedy tak wszystko pokazywało, że istnieje

tylko po to, aby jej służyć, wszechświat wydawał się na podobieństwo dworu: Ziemia siedziała tam jakby na tronie, a inne globy dookola grały rolę niby dworzan, warty, sług, pełniących takie czy inne obowiązki. Toteż w istocie Ziemia miała się zawsze za władczynię świata i Bogiem a prawdą, tak jak rzeczy dotychczas stały, trudno powiedzieć, żeby rozumowała błędnie, owszem, nie mogę zaprzeczyć, że jej pojęcia były mocno uzasadnione. A co dopiero powiedzieć o ludziach! My uważamy się (i będziemy się zawsze uważali) za więcej niż najpierwsze i najgłośniejsze społeczeństwo stworzeń ziemskich. Każdy z nas, choćby chodził w lachmanach i nie miał suchego kęsa chleba do włożenia w usta, napewno się poczytywał za władcę nie żadnego Konstantynopola czy Niemiec, czy połowy Ziemi, jak onego czasu cesarze rzymscy, lecz za władcę wszechświata, władcę słońca, planet, wszystkich gwiazd, widzialnych i niewidzialnych, oraz za przyczynę celową gwiazd, planet, wszelkiej dostojności i w ogóle wszystkiego. Jeżeli teraz zażądamy, aby Ziemia ustąpiła ze swojego środkowego miejsca, jeżeli każemy jej biegać, kręcić się i trapić ustawicznie, spełniać ni mniej ni więcej, tylko te zadania, które dawniej spełniały inne globy, jeżeli w końcu każemy jej stać się jedną z planet — to to wyniknie stąd, że jej królewską mość ziemską i ich królewskie mości ludzkie będą musiały opróżnić tron i porzucić królestwo, pozostając natomiast przy swoich lachmanach i przy swoich niedzach, których jest co niemiar.

SŁOŃCE: Do czego zmierzają, mówiąc to wszystko, moi miły ksiądz Mikołaj? Może straszy go sumienie, że ten fakt będzie obrazą majestatu?

KOPERNIK: Nie, najczcigodniejszy panie, ponieważ, o ile sobie przypominam, ani kodeksy ani digesta czy księgi, traktujące o prawie publicznym czy o prawie państwowym, czy o prawie ludów, czy o prawie natury, nie czynią żadnej wzmianki o takiej obrazie majestatu. Chcę tylko prawo natury, nie czynią żadnej wzmianki o takiej obrazie majestatu. Chcę tylko prawo natury, nie czynią żadnej wzmianki o takiej obrazie majestatu. Chcę tylko prawo natury, nie czynią żadnej wzmianki o takiej obrazie majestatu. Chcę tylko prawo natury, nie czynią żadnej wzmianki o takiej obrazie majestatu.

SŁOŃCE: Synu mój, wszystko to razem bynajmniej mnie nie przeraża, z jednakim bowiem szacunkiem odnoszę się do metafizyki jak do fizyki, i jeżeli chcesz, do alchemii czy do czarnej magii. Ludzie zadowolą się, że są tym czym są, gdyby zaś im to nie dogadzało, zaczęną rozumować na wyrwót i dowodzić na przekór oczywistości rzeczy. Przyjdzie im to nadzwyczaj łatwo i dzięki temu będą się mogli i nadal uważać za co zechcą, za baronów czy ksiągów czy cesarzy, czy za co im się żywnie podoba, pocieszą się tedy jak nie, a mnie ich strapienia ani na krztę nie dadzą się we znaki.

KOPERNIK: Dajmy więc pokój ludziom i Ziemi. Racz jednak wasza dostojność zastanowić się, co musi z natury rzeczy zejść z innymi planetami. Kiedy spostrzegę, że Ziemia robi to wszystko, co i one, że stała się jedną z nich, nie będą chciały już dłużej być takie gołe, proste i bezozdobne, jak zawsze były, podezają Ziemia jedyna ma tyle upiększeń. I one zapagną swoich rzek i mórz, swoich gór, roślin, a śród innych rzeczy — swoich zwierząt i mieszkauców, nie będą przecież widziały najmniejszej racji, aby pod jakimbądź względem miały ustępować Ziemi. I oto mam nowe wielkie wyrócenie ludu na świecie i nieskon-

czona moc nowych rodów i ludów, które w jednej chwili powysekają ze wszech stron, jak grzyby po deszczu.

SŁOŃCE: Daj ty im wykakawaj i niech iel będzie ile się zmieści. Moje światło i ciepło wystarczy dla wszystkich, chociaż nie będę wydatkował ani o źdźbło więcej, a świat będzie miał czym je karmić i oddać i gdzie usadowić i częstować je hojnie, nie narażając się na uszczerbek.

KOPERNIK: Niechęć jednak wasza wielmożność pomysłi jeszcze o jednej sprawie, a zobaczy nowo naruszenie porządku. Bo gwiazdy, widząc, żeście zasiadli już nie na podnożku lecz na tronie i że was okala ten piękny dwór i ten poezet planet, nie tylko same zapagną podobnie rozsiąść się na wywczasach, ale będą chciały także królować. Kto króluje, musi mieć poddanych, a więc i im zabech się planet, każdej dla siebie, tak jak w bydziecie je mieć. Te nowe planety będą musiały z kolei być zamieszkane i strojne jak Ziemia. Nie będę wam tutaj prawil o biednym rodzaju ludzkim, który już przedtem spadł niemal do nicości w stosunku do tego jednego świata. Na co on jezdzie, kiedy nagle wybuchnie tyle tysięcy innych światów, tak że każda najdrobniejsza gwiazdka drogi mlecznej będzie miała swój własny świat? Biorąc tylko pod uwagę wasz osobisty interes, powiadam, że dotychczas byliście, jeżeli nie pierwsi we wszechświecie, to na pewno drudzy, zsiście zaraz po Ziemi i nie było wam równego, zważywszy że gwiazdy nie ośmielały się mierzyć z wami. Teraz, w tym nowym porządku świata znajduje się tyłu wam podobnych, ile będzie gwiazd ze swymi światami. Zważcie tedy, czy zmiana, którą chcielibyśmy wprowadzić, nie obróci się na niekorzyść waszego stanowiska.

SŁOŃCE: Czy nie pamiętasz, co powiedział wasz Cezar, kiedy w przeprawie przez Alpy wypadło mu przechodzić opodal miesciny jakiegos biednego barbarzyńskiego plemienia? Oświadczył, że milej był mu było być pierwszym w onej misie, niż drugim w Rzymie. I ja tak samo wolalbym być pierwszym w naszym świecie niż drugim śród wszechświata. Atoli nie ambicja kieruje mną i nakazuje odmieniać ohebną stan rzeczy, tylko miłość spokoju, albo wyraźniej mówiąc, lenistwo. Niewiele się więc troskam o to, czy mam równych sobie czy nie mam, czy jestem na pierwszym miejscu czy na ostatnim; w przeciwieństwie bowiem do Cyserona, wycięł sobie cenę wczasowanie od dostojństwa.

KOPERNIK: To wczasowanie, czcigodny panie, z mojej strony, na ile mi się stać, postaram się dla was zdobyć. Lękam się atoli, czy nawet w razie powodzenia zamysłu, bezczynność utrzyma się na czas dłuższy. Najpierw jestem prawie pewny, iż niewiele wody upłynie, a będziecie zmuszeni kręcić się jak korba studzienicy czy kamień młyński, nie zmieniając przy tym miejsca. Dalej: mam podejrzenie, że ostatecznie, po krótszym lub dłuższym czasie, znou wam wypadnie zacząć bieganie, nie twierdząc że dokoła Ziemi, ale czy wam to nie wszystko jedno? I kto wie, czy właśnie to wasze obracanie się nie posłuży za argument, żeby wam także kazać chodzić? Zresztą, mniejsza o to, niech co chce będzie. Jeżeli trwać w waszym zamiarze, to pomimo wszelkich trudności i innych względów, postaram się uczynić wam zadość. Pod warunkiem wszakże, że jeśli rzecz się nie stanie, nie będziecie myśleli, że mnie nie podolał, i nie powiecie, że jestem człowiek tchórzliwy.

SŁOŃCE: Dobrze, dobrze, mój Koperniku. Spróbuj.

KOPERNIK: Zostałaby nam jeszcze jedna trudność.

SŁOŃCE: Jakaż to? Słucham.

KOPERNIK: Nie chciałbym z tej przyczyny splonąć żywcem na wzór Feniksa, co gdyby mi się przygodziło, pewny jestem, że nie wstaliśmy więcej z popiołów jak ów ptak i nigdy już od tej pory nie oglądaliśmy oblicza waszej dostojności.

SŁOŃCE: Słuchaj, Koperniku. Wiesz, że kiedyś, kiedyś, gdy wy, filozofowie, zaledwie rozdiliście się na ten świat — byłem prorokiem. Pozwól, bym dzisiaj wieszczyl po raz ostatni, a przez pamięć dawnej mojej mocy, zawierz mym wróżdom. Powiem ci zatem, że kto wie: kiedyś, po tobie, różnym ludziom, co potwierdzą to, czego ty dokonał, może się przytrafić jakie spalenie, lub coś w tym rodzaju; ty sam jednak, o ile mogę poznać, w związku z naszym przedsięwzięciem zgola nie ucierpiasz. A jeżeli chcesz się jeszcze lepiej upewnić, chwyc się takiej sztuczki: księgie, którą w tej sprawie napiszesz, poświęć papieżowi. Ręczę ci, że w ten sposób nie stracisz nawet swojej prebendy.

Przełożyła JULIA WIELEŻYŃSKA

ś. † p.

# ANDRZEJ STRUG

ZNAKOMITY PISARZ  
WIELKI OBYWATEL

zmarł dnia 9 listopada 1937 roku

Cześć Jego pamięci!

Redakcja „PIONU”



STEFAN LICHAŃSKI

## MIT O „CZŁOWIEKU INTEGRALNYM”

Czytając *Myślenie całociami* p. Łaszowskiego (*Pion*, Nr 47), doszedłem do wniosku, że powstało między nami pewne nieporozumienie. Artykuły pp. Łaszowskiego i Pietrzaka były dla mnie tylko punktem zaczepienia w krytyce irracjonalizmu, mąjącego poglądy młodego pokolenia. Ponieważ nie porobiłem w tej kwestii należytych zastrzeżeń, p. Łaszowski potraktował mój artykuł wyłącznie jako atak na jego *Analizę bez krokodyli*. Ale ostatecznie jest to sprawa małej wagi. Ważniejsze jest to, że przy okazji p. Łaszowski sformułował konkretniej swoje stanowisko zasadnicze, co zmusza mnie do zabrania raz jeszcze głosu dla przeprowadzenia dokładniejszej konfrontacji naszych poglądów.

Osią krystalizacyjną światopoglądu p. Łaszowskiego jest pojęcie „człowieka integralnego”, będącego miarą wszystkich rzeczy. On jest zasadą podstawową, wszystko inne ma wartość tylko w odniesieniu do niego. „Prawda nabiera znaczenia w zależności od talentu wyznawców”. Świat dookólny jest dla takiego człowieka tylko tworzywem, historia — przeżywaną według własnego pomysłu autobiografią. Podstawą działania owego wymarzonego przez p. Łaszowskiego herosa jest intuicja twórcza. Wola uznana zostaje za czynnik pierwszy. Co prawda, p. Łaszowski protestuje przeciw nazwaniu go irracjonalistą i oświadcza, że intelektu nie ceni równo wysoko jak wolę („rozum, uczucie i wola — to jedno”), ale w praktyce przypisuje mu znaczenie tylko pomocnicze: „Dane rozumu i dane doświadczenia stanowią dla przelanek intuicji twórczej”. Dla p. Łaszowskiego „czyn jest właściwym aktem poznawczym”, myśl ma znaczenie tylko w odniesieniu do jakiegoś konkretnego działania. „Każdą akcją bojową wymaga piekielnej precyzji intelektualnej”: rozum zatem współdziała przy wykonywaniu pewnej decyzji, ale ona sama zapada niezależnie od niego: „W obliczu wielu alternatyw mąż stanu musi powiedzieć: „Ta prawda zwycięży, która będzie miała sprzymierzeńca we mnie”. Korzenie takiej decyzji są zawsze ukryte tajemnicą. Można ją umotywić tylko do pewnego stopnia. Dalej ciemność zupełna, żywioł przeczuć, brak znaków na niebie i ziemi. Geniusz jest sam”.

Geniusz p. Łaszowskiego jest nie tylko sam, jest także „jenseits von Gut und Böse”. Nie uznaje on bowiem żadnych stałych kryteriów moralnych, a stwarza je sobie sam zależnie od okoliczności: „Walka ma własną moralność. Proste: zabicie człowieka w czasie pokoju jest zbrodnia, lecz wojna zmienia postać rzeczy, wprowadza inne kryterium”. A bez wojny, tak czy inaczej pojmowanej, „człowiek integralny” żyć nie może. Jest on nastawiony na walkę, rewolucję, heroizm. Ponieważ ów „mąż doskonały” p. Łaszowskiego — to przede wszystkim mąż stanu i polityk, więc i zagadnienia polityczne wysuwają się u autora *Analizy bez krokodyli* na pierwsze miejsce. Kultura i sztuka uznane zostają jakby za „nadbudowę”. Toteż „subtelny rzeczoznawca spraw sztuki” przykazuje autorowi stawać „u boku wielkości”. Poezja ma być — mówiąc słowami Irykowskiego — „pieskiem rewolucji”. Czyn — to drobiazgi, wartość najwyższa; reszta — to drobiazgi, może miłe, może nawet cenne, ale ezas na nieważenie się nimi przyjdzie później: najważniejsza jest nie przetrwanie rzeczywistości.

Sugestynowy, brawurowy styl p. Łaszowskiego i imponujący rozmach w traktowaniu wszelkich kwestii, nasuwających się pod pióro, czynią *Myślenie całociami* artykułem na wesele oryginalnym i ciekawym. Czuję się wobec niego ze swoimi wywodami krytycznymi jak Turek w katedrze św. Piotra; ale odważywszy się na zakwestionowanie słuszności stanowiska p. Łaszowskiego, muszę dzielić świętokradce doprowadzić do końca.

Na koncepcji p. Łaszowskiego zaczęli niewątpliwie Nietzsche, Bergson, Brzozowski, zaczęli na niej pragmatyzm i relatywizm, ale zasadą, która koncentrowała koło siebie poszczególne poglądy tych filozofów i systemów filozoficznych, był praktycyzm polityczny. Ideal „tworzenia historii”, pojęty jako kult doradczego sukcesu politycznego, zamponował p. Łaszowski i stał się twierdzeniem podstawowym jego wiary filozoficznej. To podporządkowanie wszystkich dziedzin życia polityce tworzy co prawda pewną całość, ale całość nie ograniczoną a skłeloną mechanicznie, gdyż tylko autonomia owych dziedzin poszczególnych umożliwia ich równomiernie wzajemne oddziaływanie na siebie i tworzy, drogą współzależności, harmonijną całość. P. Łaszowski określił moje myślenie jako XIX-wieczne. Jest to o tyle słuszne, że bardzo wiele w budowaniu owego światopoglądu przyjąłem z Norwida, który żył istotnie w XIX w. Ale najwyższą wartość i rewelacyjność Norwida polega na

tym, że był on bezkompromisowym głosicielem i bojownikiem zasad Ewangelii. P. Łaszowski może zatem źródła moich poglądów umiejscowić w czasie o wiele dalej niż w XIX w. Mnie mało interesuje, z jakiego wieku datują się stanowiska filozoficzne, wywierające wpływ na p. Łaszowskiego. Chodzi mi o to, że jego koncepcja człowieka i świata jest koncepcją wyraźnie antychrześcijańską.

Nie istnieje żaden „człowiek integralny”, będący miarą wszelkich wartości. Rolę człowieka w świecie możemy rozpatrywać tylko w odniesieniu do Boga. Chrześcijańska wolność woli i anarchiczny indeterminizm p. Łaszowskiego nie pokrywają się wcale ze sobą. Historia nie może być dziełem najzupełniej dowolnych wybrków choćby największych geniuszów, bo „przecież z woli i dopuszczenia Boga pisze się ta księga” (Maritain). Żadna wojna nie może ustanowić nowych kryteriów moralnych, gdyż zostały one ustalone raz na zawsze w Dekalogu. P. Łaszowski powie pewnie, że taki świat — to świat zamknięty, skończony — a przecież ma on być tylko „materiałem czynu”, itd. Świat oglądany oczyma chrześcijanina nie jest bynajmniej ślepa uliczką ani kłasztorem kontemplacyjnym, ale jest — wbrew poglądom idealistycznym — światem realnym, w którym nie rządzi żadna bezosobowa intuicja twórcza, lecz świadoma myśl Boża, która jest punktem wyjścia wszelkiej twórczości. Zarówno zakres naszej działalności, jak i sfera możliwości ludzkich są w chrześcijaństwie wyraźnie określone, toteż myślenie chrześcijańskie jest zasadniczo atrakcyjne i antyrewolucyjne. Każda psychika rewolucyjna jest z chrześcijańskiego punktu widzenia kaleka. Ale może jest ona użyteczna z nacjonalistycznego punktu widzenia, który najbardziej odpowiada p. Łaszowskiemu? I to nie. Naród bowiem w obiektywnej hierarchii stoi niżej niż Stwórca i Pan wszyst-

kich narodów; toteż myślenie niechrześcijańskie jest szkodliwe tak samo z narodowo, jak i religijnego punktu widzenia. Jeśli chodzi o Polskę, to za zajęciem stanowiska ortodoksyjnie katolickiego przemawiają i względy czysto praktyczne: wzmianki między pogaństwo komunistyczne i hitlerowskie, musimy szukać oparcia w ideologii różnej od obu tych systemów jakościowo i od ich ideologii wyższej.

Przyczyną jednak zasadniczą błędów w rachunku p. Łaszowskiego jest co innego, mianowicie leżący u podstaw jego myślenia estetyzm. P. Łaszowski ocenia wszystkie podstawy z punktu widzenia ich siły emocjonalnej. Dla tego nacjonalista wartością najwyższą nie jest wcale naród, ale „geniusz” w narodzie ujawniający się i dzieło tego właśnie „geniusza”. Dla p. Łaszowskiego dyktaturyzm jest celem samym w sobie, a dyktator przypomina w jego ujęciu niezscheańskiego „nadczłowieka”. Mamy tu po prostu dawniejszy „imperializm liryczny” p. Łaszowskiego, przetransponowany na zagadnienia polityczno-społeczne. Ale przecież p. Łaszowski wznosi sztuce funkcję już drugorzędą w życiu nacjonalizmu? Dadaści wręcz zwalczała sztukę, ale w istocie tworzyli tylko nowy prąd literacki. P. Łaszowski czytał wiadał niezbyt uważnie *Czyn i słowo* Irykowskiego i dlatego uległ „czynowym” sugestiom. Jakto? Przerwał? Przełom? A literaty wierszyki i nowelki pisza? Precz z tym! W kąś szary! Do czynu, panowie bracia! Do Czynu! Cóż jest frazeologia brzmi bardzo „praktycznie”, kiedy u podstaw jej leży — literatura?

Sztuka społecznikująca, moralizująca, politykująca wcale nie najlepiej spełnia swoje zadania społeczne. Chodzi nie o wysługiwanie się politykom, a o samodzielną pracę kulturotwórcą. A kultura i polityka nie zawsze ze sobą są w zgodzie, bo zakres każdej z

nich jest inny. Polityka ma zawsze charakter ekskluzywny; chodzi w niej przede wszystkim o obronę interesu narodowego i państwowego. Sztuka ma przede wszystkim zbliżać nas do doskonałego piękna, które jest jednym z atrybutów Bożych i dlatego — pełniąc zadania w pewnym sensie religijne — jest zawsze na swoich szczytach ponadnarodowa. Stawanie ludzi kultury i sztuki „u boku wielkości” nie zawsze jest uzasadnione i nie zawsze dobrze świadczy o jednostkach postępujących w myśl tej zasady. Ważny np. Woltera, który „stał u boku” najpierw Fryca, Wielkiego Złodzieja, a potem heterozybrodniki, „Semiramidy Półnoocy”. Nie, rola artysty w dniach przełomu ma być inna. Rola jego w społeczeństwie przypomina poniekąd rolę duchownego; toteż jak tamten pełni służbę Bożą bez względu na okoliczności, w jakich mu to czynić wypada, tak artysta musi bronić ideałów kultury i wartości moralnych przez kulturę stworzonych. Nie lokaj Stalina czy Hitlera — ale Chenier, plujący wgardziwie swą świętą satyrą w pysk psychopaty Robespierre’a; nie krzykły wiewoły Tyrtusz — a la Majakovskij, — ale Walt Whitman, pełniący z narażeniem życia służbę samarytańską podczas wojny domowej; to ideały żywe artystów w dniach klęski i rewolucyjnego obłędu.

Mit o człowieku integralnym nie stał się punktem wyjścia dla stworzenia całociowej, syntetycznej wizji świata, gdyż jest w obecnej swej postaci pomysłem chybionym. Mieszczą się jednak w nim momenty ciekawe literacko i dlatego p. Łaszowski powinien na artykuł teoretyczny odpowiedzieć — w myśl własnych poglądów — nowelą lub powieścią. Takie rozwiązanie sprawy może nas pogodzić, gdyż ufam talentowi p. Łaszowskiego bardziej, niż jego poglądom teoretycznym.

STEFAN LICHAŃSKI

## ROZMOWA Z MARIĄ KUNCEWICZOWĄ

Autorka *Cudzoziemki* mówi o sobie z utonąją niechęcią do zwierzeń. Mówi głosem pięknym i dyskretnym, półgosem kończąc niedomówienia. — Nie myślałam nigdy — opowiada p. Kuncewiczowa o historii literackiej swej twórczości — o tym, że będę pisała. Ojciec życzył sobie, żebym studiowała historię, matka natomiast, wierząc w swój głos, pragnęła, bym się poświęciła muzyce. Jednak wyraźny napór sił wewnętrznych, narzucający mi niemal konieczność uporządkowania otaczającego mnie świata, zdyscyplinowania życia osobistego, zmuszają mnie do pisania. To droga, na której osiągam porozumienie z życiem i otaczającymi mnie zjawiskami świata.

Zapytuję, skąd pochodzi tematyka jej powieści i jaką wagę przywiązuje do swojskości w swoich utworach?

— Piszę o życiu znanym mi blisko i osobliście, doświadczonym i dokonanym we mnie. Nie mogę uwierzyć w nic, czego nie przeżyłam sama, co nie było radością albo bólem doznany. Stosunek mój do świata i do życia nie jest pozytywny. Nie lubię życia, jestem nim przerażona i zgorzonna. Wierzyłam w cuda, które nie dzieją się jednak i dlatego żyję w rozpacz — to mój stan naturalny i chroniczny. Przemijanie przeraża, jeśli wiara w tętno życia i w sens przemijania pocieszyć nie może. Pisaniem potwierdzam siebie, zatrzymuję sprawy i rzeczy uciekające. Wstydję się sentymentu, ale wynika to z założenia raczej formalnych — pisarz musi obiektywizować — intymne zwierzenia formułując w znaczeniu ogólnym. — Czyż ironizowanie „uciekam od liryzmu, przewyższam może własną niepewność. Co do swojskości moich powieści, przyjmijmy by mi było, gdyby można je było uważać za uniwersalne w pewnym sensie. Ludzie jednak podobni są do siebie obsesjonalnie niemal i krewni sobie. Dogadają się z każdym człowiekiem „do korzenia”, który jest niewyruszałym „do korzenia”. Mimo to wydajemy u człowieka i wczasy. Mimo to wydajemy mi się, że swojskość moich powieści wynika z tła i pejzażu polskiego, który jest biologicznie po prostu zróżnicowany, a nie ma go w sobie.

Na pytanie, czy zajmuje się problemem kobiecym, pani Kuncewiczowa odpowiada: — Problem społeczny nasuwa mi się jako wniosek z poszczególnego życia. Są życia ludzkie, które mnie przerażają albo zachycają i z tego wynika problem. Sprawy kobiece czuję, oczywiście, lepiej i rozumiem je, bo jestem kobietą, ale zagadnienia tego nie wyodrębniam z całości zjawisk. Kobiety i ich sprawy nie wzbudzają we mnie większego współczucia, niż sprawy mężczyzn. Odpowiednikiem portretu psychologicznego, ja-



MARIA KUNCEWICZOWA

kim jest Róża w *Cudzoziemce*, będzie postać Adama w powieści, którą zamierzam napisać. Dla mnie to wielka próba i miara możliwości, czy potrafię tak „rozgrzyźć” mężczyznę.

— Czy Kazimierz nad Wisłą był środowiskiem dla pani i czy zamierza pani środowiskiem takie kiedyś opisać?

— Jeśli chodzi o stronę dekoratywną i osobliwość pejzażowe, a nadio charakterystyczność typów — to wszystko dało mi środowisko Kazimierza. Nie ponadto. To co opisuję w *Dwóch księżyczkach* wyczerpało się, nie jestem tego ciekawa i nie mi to już nie daje. Odeszłam zupełnie. To był aspekt raczej dekoracyjny, to wyglupianie się artystów i wydziwianie, umysłne przerysowanie. Życie widziane od zewnątrz — sama byłam wówczas za mało jeszcze osadzona w sobie. W *Dwóch księżyczkach* daję pewne założenia formalne przeciwstawności życia rzeczywistego mieszkańców Kazimierza, które jednak jest poniekąd, przez dekoracyjność niezamierzona, odrealnione — i jednostronne, zewnętrzne, dekoracyjne życia artystów, trochę kabotynów, wyżywających się w geście zewnętrznych. Przyznaję jednak muszę, że mało bym wiedziała o życiu, gdyby nie Kazimierz. Tu zobaczyłam różne byty ludzkie, w swoim obłędzie tak zdumiewająco e-

gzotyczne — to była lekcja życia. Tu się zetknęłam z rzemieślnikami, z sąsiadami, tu się zahaczyłam o konkretność życia, tu miałam swój kawałek ziemi, swój domek. Poznałam technikę życia, zetknęłam się ze zwierzętami, z roślinami, z różnymi gatunkami fikcji, w których żyją ci ludzie. Oczywiście, mogłoby się to wszystko stać i w innej małej miejscowości, Kazimierz jednak posiada tak wspaniałą ekspresję, ten pejzaż jest tak niewiarygodny, to tak osobliwe, życie pełne kontrastów i dziwaczności. Poza tym sprawa środowiska nie ma dla mnie zbyt wielkiego znaczenia. Jestem naturą samotniczą i ludzie są mi mało potrzebni. Parę osób bliskich — wszystko inne, to jakby ruch na scenie, to fala i masa, która napelnia świat. Raczej środowisko w znaczeniu emanacji nie bezpośrednio, środowisko jakie daje Paryż na przykład. Tak zwane życie kawiarniane uważam za przeciwie mojej naturze; obcowanie z ludźmi jest mi trudne, a w miarę lat tracę po prostu zdolność konwersacji. Życie moje wydaje mi się aż ordynaryjne. Proste; jest kilka rzeczy, które muszę napisać — i tak nie wiadomo czy mi starczy energii, żeby te, jak drzazgi tkwiące we mnie sprawy zrzucić z siebie, uwolnić się od nich. Mam mam wytrzymałość nerwową i nie stać mnie na nie więcej. Mówienie „na temat” bardzo rozładkuje i jak wygadam wszystko, jestem uspokojona, a mnie tego nie wolno.

Na zakończenie naszej rozmowy zapytuję jeszcze, jak wygląda sprawa tak zwanego powodzenia i odpowiedzialności wobec czytelnika?

— Nie idę na łatwej fali powodzenia. Poza czysto ludzką, ambicjonalną przyjemnością, jaka wynika z uznania mojej pracy, patrzę na to jakby z daleka, przez szybę, jakby o kogo innego w istocie chodziło. To nie dotyczy moich spraw najwewnętrzniejszych. Co do odpowiedzialności, to miałam taką jedną chwilę przerażenia, kiedy jakaś młoda kobieta napisała do mnie, że znajduje się w takim stanie ducha, w jakim była w obliczu śmierci Róża z *Cudzoziemki*, i że jest moim obowiązkiem powiedzieć jej co ma zrobić ze swoim życiem. To był moment prawdziwej zgory. Do jakiego stopnia to co było moją sprawą osobistą, kiedy zaczęłam pisać, co było niejako moją funkcją życia, zabiło się nagle o istnienie innych ludzi, stało się sprawą publiczną i ja, istota społeczna, jestem pociągana do odpowiedzialności osobistej. I tu rozgrywa się konflikt uczuciowy. Czy pisać „ku pokrzepieniu serc”, żeby ludzium nie było przykro — co mi jest wstrętne, czy mówić to co czuję. Mam głęboką niechęć do pedagogii, nie chcę nawracać ani uczyć. Oddziaływanie świadome jest złem. (K. L.)







## SZTUKA „ZWYRODNIĄŁA”

Wystawa „sztuki zdegenerowanej”, zorganizowana na okres wakacji w jednym ze skrzydeł monachijskiego pałacu, miała być potwierdzeniem tego wszystkiego, co się ostatnio w Niemczech mówiło i pisało na temat upadku, wstępnego i przeczucia współczesnej sztuki niemieckiej.

Nie też dziwnego, że na wystawę dobrano takie dzieła i podano je w ten sposób, aby mogły one raz wreszcie, wykluczając wszelką dyskusję, utwierdzić w niemieckich masach przekonanie, że jedynym



A. ADLER Dziewczęta niemieckie

zadaniem tego wszystkiego, co powstało w dziedzinie sztuki przed porządkami hitlerowskim, było odwrócenie odwiecznych pojęć o prawdzie, o pięknie, o zdrowej i pozytywnej organizacji życia artystycznego. Jedyną troską organizatorów wystawy było zohydzenie sztuki, która w koszarowej atmosferze dzisiejszych Niemiec staje się rzeczą coraz bardziej niewygodną.

Dlatego też obraz, który mógł, czy raczej powinien być był znaleźć na wystawie by świadczyć o swej destrukcyjnej misji, musiał spełnić jeden tylko warunek. Tym warunkiem było jak najgłębsze odchylenie całej jego konstrukcji (wewnętrznej i zewnętrznej) od tego wszystkiego, co dzisiaj uznane jest w Niemczech za piękne i wzniosłe. Co zaś spełniało ów warunek, trudno ściśle określić — w każdym razie ani autorstwo dzieła, ani jego przynależność do tej czy innej orientacji, ani jego rzeczywiste tendencje, a tym bardziej wartości malarskie. O wszystkim decydował tu inkwizytorzy zmysł gorliwych komisarzy. Zmysł ten jednak w chwiałach większego zienerowania najwidoczniej zawodził. I dlatego w dreczącej obawie, aby mimo wielu starań nie zawiązała się między przypadkowym widzem a którymś z artystów jakakolwiek nie sympatii, porozwieszano dzieła poszczególnych autorów we wszystkich możliwych salach, a dla rozwiania retek wątpliwości opatrzone je przerożnymi i najczęściej mało wybrednymi komentarzami i uwagami.

Tak więc znalazł się tu Lovis Corinth, reprezentowany na wystawie poza pejzażami i scenami historycznymi wspaniałą kompozycją pt. *Ecce Homo* — obok M. Chagalla; Max Pechstein znalazł się obok tworzącego swe kompozycje z drutów, sznurków, kawałków blachy, guzików i papierów Schwittersa; nastrojowy Schmidt Rottluff obok wyrafinowanego Dix'a. Są tu reprezentowani niemal wszyscy przedstawiciele pomniejszającego malarską niemiecką — tak jednak, by narzucić sugestię, że rozwój tej sztuki idzie w kierunku upadku.

Przed wszystkim narzuca się pytanie, czy akcja ta ma jakieś szanse powodzenia, czy istnieje coś, co przemawia za słusnością tej nieodwracalnej imprezy, czy może nie ona jakiś pozytywny wpływ na późniejsze ukształtowanie się sztuki niemieckiej?

Nie cofając się przed dalszą dyskusją, należy stwierdzić, że sztuka jest organizmem, który nie poddaje się nawet najostrożniejszemu lancetom. Wszelkie operacje, cięcia, amputacje dają tu tylko chwilowe rezultaty. To, co jest w sztuce chore, a właściwie to, co nie jest sztuką, po krótkich dniach swej chwały przepada w zapomnieniu. To zaś, co wyrosło z rzetelnego talentu, z rzetelnej pracy, co powstało w prawdziwym trudzie myślowym i w gorącej chęci stworzenia rzeczy nowej, przetrwa najgorszą dla siebie koniunkturę i do czeka się zwycięstwa.

Otóż, nam się wydaje, że ekspresjonizm należy zaliczyć do tych kierunków, które powstały z głębokich rozmyślań i poszukiwań.

Cały ten ruch, tkwiący głęboko korzeniami w sztuce Van Gogha, Gauguina, Cézanne'a, związany silnie z monumentalnym malarstwem Hodlera i równocześnie zrywający z wszelką monumentalnością i idący przeciw wskazaniami postimpresjonizmu, niósł w sobie jakiś nie wywołany tragizm, jakiś rozpacze samokłócenie.

Ekspresjonizm szuka nowych praw wypowiedzenia się, praw które by go w niczym nie krepowały, a daly mu zupełną swobodę nawiązywania kontaktów z życiem. Obraz, rzeźba, grafika przestaje być dodatkiem do życia, przestaje być rzeczą, która ujęta w piękne ramy, ma przystroić wytapetowane ściany mieszkanka. Dzieło sztuki przestaje być budowane na obraz i podobieństwo świata widzialnego, a zaczyna szukać życia własnego. Ekspresjonizm w swym działaniu staje się głośni, odważni, brutalni, bezwzględni. Uderzają z kolosalną siłą w snobistyczne estetyzowanie mieszczuchów. Ogłaszają nowe, na wskroś rewolucyjne hasła.

W stosunku do otaczających ich rzeczy są drapieżni. Z człowieka, z całego życia człowieka zrywają wszystkie maski i obnażają włókna przed posepny, na wskroś ziemski trybunał. To doszukiwanie się w każdym napotkanym człowieku najniższych, najpodlejszych namiętności nie przeszkadza jednak ekspresjonistom zwrócić się ku sprawom religijnym. Nolde, Raub, Max Beckmann malują św. Franciszka, Chrystusa, Madonny; Gies rzeźbi w drzewie Ukrzyżowanego.

We wszystkich tych pracach poza podniekami religijnymi przejawia się owa niezaspokojona pasja poszukiwania wartości, kryjących się poza życiem codziennym; ta pasja wiedzie ekspresjonistów ku przej-

ściom do ludzi pierwotnych, do ich obrządków religijnych i do ich bóstw.

Ten rozdźwięk, który wciąż się pogłębia między artystą a formą świata, doprowadza do rozbicia, do zniewolenia perspektyw, do deformacji i przekształceń, a wreszcie do wyrugowania z obrazów wszystkiego, co by przypominało owe formy. Treścią obrazu staje się linia, płaszczyzna, kolor, faktura. Nie na tym jednak koniec. Niektórzy artyści uważają, że linię w kompozycji może zastąpić przyklejony sznur, płamę — przybitą kawał blachy, wartości fakturowe dadzą bezpośrednio zestawienie drzewa, papieru, szkła, celuloidu, miedzi.

Oczywiście, że w tych kilku zdaniami niesposób wykreślić linii, po której dałyby się ekspresjonizm w swym gwałtownym rozwoju i we wszystkich swych często nieopanowanych wyluchach, tak jak niesposób w tej chwili rozpoczynać dyskusję nad wszystkimi błędami i pomyłkami ekspresjonizmu. Mówiąc jednak o błędach

ekspresjonizmu, nie trzeba zapominać, że klęską tego malarstwa stały się tłumy niedoconanych pasorzytów o przewidywalnych talentach, które z nieopohamowaną żarłocznością rzuciły się na wydający się im łatwym ekspresjonizm, by swymi niemiłosiernymi, wyzutymi z wszelkiej wiedzy malarskiej „ekspresjami” podciąć byt tej naprawdę ofiarnej i pięknej w swym tragizmie sztuki.

Gdyby Niemcy w rewizji swego stosunku do tej sztuki (która dziś przecież należy do przeszłości) chcieli oczyścić ziarną od plew i w reformatorskim zapale popiełnić szereg błędów, to i w tym wypadku rzecz godna byłaby dyskusji, rozważań, ideowych sporów. Potępiając zaś cały ten ruch w zszambal i przy stopniak, wydali tylko smutne świadectwo swej kultury, a niszcząc szereg pierwszorzędnych dzieł, wyrządzili swemu sztuce niepowetowaną szkodę.

STANISŁAW CIECHOMSKI

## NORWID — CAŁY

Po wielu latach, latach pełnych cichych i głośniejszych pretensji do Miriama — tego baśniowego skapka, ciężącego się zadrosnie blaskiem odnalezionego przed siebie klejnotów w ukryciu przed oczami intruzów — ukazały się nareszcie tyle oczekiwane *Wszystkie pisma Cyprjana Norwida po dziś w całości lub fragmentach odszukane*. Pisma te obejmują tomów dziewięć; na razie ukazały się cztery, zawierające utwory dramatyczne oraz listy. Pięć pozostałych tomów ma wyjść z druku w roku najbliższym.

Forma zewnętrzna tej edycji zasługuje na osobną wzmiankę. Nowe wydanie Norwida nie jest kontynuacją niedokończonego wydania sprzed lat dwudziestu pięciu; stanowi ono całość samodzielną, zupełnie odmienną od swego poprzednika. Tamto — zgodnie ze swym czasem — utrzymało było w stylu secesyjnym, drażniło też nieco powojennego czytelnika przesylną bibliofilską ozdobnością i pretensjonalnością niektórych komentarzy. Tomy wydane obecnie reprezentują zgola inny styl edytorski. Papier skromny; druk prosty, ale równocześnie (w odróżnieniu od wydania Piniego) wyodrębniający starannie (za pomocą kursywy i zmiennego formatu liter) tak znamienne dla Norwida różnice w *wymacianiu* zdań i ważniejszych zwrotów; układ tekstów chronologiczny bez jakichkolwiek sztucznych konstrukcji; komentarzy żadnych — słowem, wydanie bez aparatu naukowego, nie dla polonistów, nie dla „uczęcej się młodzieży”, nie dla snobów, ustawiających z lubością zbytekowne „meble” w swej bibliotece, ale — dla czytających książki. Samą formą zewnętrzną mówią nam tomy te, że nie trzeba Norwida balwochwalczo czcić, snobistycznie okadzać frazesami, celebrować delifiką mową komentarzy, ale najprościej — jak każdego innego pisarza — czytać.

Dwie części pism dramatycznych (tom trzeci i czwarty w kolej wydania) obejmują na przestrzeni siedmiuset pięćdziesięciu stron dziewięć utworów, poprzedzonych krótkim wstępem wydawcy. Wstęp informuje o czasie powstania utworów, kreśli dzieje bezowocnej wędrowki rękopisów, nie mogących urzecz światła druku. W wyniku tych wędrowek jeden z dramatów (*Patluł*) zaginął, inne doszły do nas mocno zdefekowane (*Za kulisami*, *Kleopatra*, *Aktor*). W naszym wydaniu otrzymujemy całości te i szkatki nareszcie zebrane razem. Dotąd *Kleopatra* np. dostępna była tylko w roczniku *Chimery*, *Miłość czyta* (jednoaktówka) w poświęconym Norwidowi numerze *Drogi*; *Piersień wielkiej damy* wyszedł z druku w ostatnich latach, a po *Zuolona* trzeba było sięgać do wydania przedwojennego. Teraz otrzymujemy całą zachowaną spuściznę po Norwidzie-dramaturgu, w dwóch książkach.

Sensacją literacką tych tomów jest dramat *Aktor*, po raz pierwszy ogłoszony z rękopisu. Dramat ten, napisany w r. 1864, zbliża się w swym charakterze do *Piersienia wielkiej damy*. Dochowała się prawie w całości jego druga redakcja; z pierwszej pozostało zakończenie i kilka drobnych fragmentów, które wydawca ogłosił w aneksie. *Aktor* jest sztuką realistyczną, o charakterze obyczajowym; kreśli perypetie wewnętrzne młodego arystokraty, który stracił majątek i dla opłacenia

długów wstępuje na scenę jako zawodowy artysta. Brak żywego taktu dramatycznego okupuje ten dramat wieloma pięknymi poetyckimi i myślą głębszą, niejednokrotnie pobudzającą czytelnika do refleksji.

Pozostałe tomy (ósmy i dziewiąty w kolej wydania) zawierają na tysiącach z górą stronach 846 (osiemset czterdzieści sześć) odszukanych dotychczas listów Norwida. Nie od dzisiaj wiadomo, że korespondencja autora *Wandy* należy do najpiękniejszych pomników epistolografii polskiej; nie trzeba więc rozwidlić się nad znaczenie publikacji, uodopieniającej całość dorobku Norwida w tej dziedzinie. Zachwycę w listach „tonów bogactwa”, jak słusznie powiada wydawca: „prostota i siła, słodycz i wdzięk, ironia i humor pogodny”; wychyla się spoza nich „obraz bezbrzeżnie bolesnego życia, nędzy materialnej, beznadziejności wydawniczej, lekceważenia jego samego i jego prac, opuszczenia bezlitosnego, więcej i plaskiej wrogości wreszcie ze strony „kulturalnej” parafianiejszego emigrancji”. A co dopiero mówić o bogactwie myśli rozszaniach w tej korespondencji! Można by garściami cytować z niej zdania i ustępy całe o uderzającej niekiedy prawdzie i aktualności, Miriam zebrał listy Norwida, ułożył je w porządku chronologicznym (co wymagało dużej pracy wobec braku daty na wielu) i, nie obciążając wydania nadużym komentarzem, który musiałby ciągnąć się w nieskończoność, uzupełnił teksty indeksem korespondentów i szczegółowym opisem „osób współczesnych i rodów wymienionych w listach lub omawianych bez podania nazwiska” (ok. siedmiuset nazwisk).

W zakończeniu swego wstępu do *Pism dramatycznych* Zenon Przesmycki napisał: „Na osiem utworów dramatycznych, zawartych w niniejszych tomach, dwa tylko są przedrukami współczesnych wydań, pozostałe sześć — postumami, które zdolaliśmy zgromadzić. Takiej proporcji sami nie wahał się nazwać wkrzeszeniem”.

Rzeczywiście: jest to wkrzeszenie. Dopiero teraz możemy w pełni, sprawiedliwie ocenić wielkość trudu Miriama, uwiecznionego tak wspaniałym rezultatem. Dotąd sarkaliśmy na powolność wydawcy, widząc w niej jedynie skąpstwo — niesłusznie! Jak się widocznie okazuje: Przesmycki pragnął dać w swej edycji *całość*, *całość* dorobku genialnego poety, a przynajmniej jak najbardziej przybliżyć się do tej nieosiągalnej, pełnej *całości*. I tylko dlatego zwałek, i obecnie jeszcze pewnie z żalem wypuścił w świat te tomy — główne dzieło swego życia — w nie gasnącej nadziei, że może przecie odnajdzie się jeszcze co z rozrzuconych po świecie rękopisów. Ale w końcu trzeba było się zdecydować. I Przesmycki potrafił się zdecydować. Wydał *Wszystkie pisma* *Norwida* i nazwał edycję tej niezmiernie niską, śmieszoną w stosunku do wartości wydawnictwa (ok. dwóch tysięcy stron w czterech tomach) cenę *trzydziestu* (w subskrypcji) a obecnie *siedemnaście* złotych. Nie wątpimy, że za tymi czterema tomami pójdą rychło następne; nie wątpimy, że wydanie to rozjdzie się szybko. Wydanie, które wystawia pomnik zarówno Wielkiemu Zapoznaniu, jak również temu, który wkrzesił z martwych jego dzieło.





Rok 1937 będzie zapisany w kronikach sztuki polskiej jako rok żaloby. Iluż to pisarzy i artystów odeszło od nas w ciągu kilku miesięcy: Szymanowski, Ujejski, Porębowicz, Leśmian, Unifowski. I wreszcie ostatni w tej żalobnej kolei, Andrzej Strug.

Pięknie wspomnienie poświęcił Strugowi Juliusz Kaden-Bandrowski (*Rozstanie z Andrzejem Strugiem w Gazecie Polskiej* z dn. 11 grudnia). Dowiadujemy się z niego, jaki wpływ miały, jaką odegrały rolę książki Struga w latach przedwojennych. Gdy dzieła Wyspiańskiego, Żeromskiego, Sieroszewskiego — pisał Kaden — przychodziły z góry, mówiły z wyżyn oślepiającej sztuki, sława Struga dojrzała inaczej; „przybijając ze strony najskromniejszych wykonawców wielkiej nowiny niepodległościowej... szczyła się w szańcach dnia powszedniego, z którym milczącym uporem fanatyzmu”. „Tymczasem pisarzy roztrząsało się słowem pełnym wezbranego uczucia, w obliczu książek Struga składało się przyrzeczenia tajemne, wśród których przypominało się najcięższe grzechy polskiego upadku, grzechy wobec chłopkiego koczucha i robotniczej bluzy”.

I wobec tych wspomnień, wobec wspólnych przeżyć za lat wojny i teraz — wobec wieczności, zacierając się różnicę, które wykopali przepaść między towarzyszymi broni, różnicę których zresztą nie trzeba wstydliwie się zarzekać (można się bowiem „pięknie różnić”). Nie zarzeka się też ich Kaden, nie próbuje przemilczać, tuszować prawdy, ale w końcu dość gorzkich refleksji wypowiada słowa nadziei: „Widzi mi się, że to rozstanie tu na ziemi pomiędzy Strugiem a tymi, z którymi razem walczył o Ojczyznę, stanie się dobrym spotkaniem na nieobjętych drogach dojrzenia prac ludzkich w wieczności”.

Pion w n-rze noworocznym poświęcił Andrzejowi Strugowi artykuł pióra Karola Irzykowskiego.

W tem cała piękność snu, że krew nie płynie ale zastęga w znak, gdy dotkniesz miecz...

Tymi słowy rozpoczyna się piękny wiersz Czesława Miłozza *Siena*, drukowany w nowym (III) zeszycie kwartalnika *Verbum*. I zarazem słowa te stanowią doskonały komentarz do twórczości autora *Trzech zim*. Na tle powszechnego przemiana ludzi i rzeczy, na tle historii plawiącej się we krwi zwyciężonych i we krwi zwycięzców, jedynie sen, marzenie, *wizja artystyczna* ratuje od zagłady, utrwała w statycznym, nieporuszonym kształcie treść przeżyć ludzkich. Oto — w największym skrócie — postawa poetyka Miłozza.

Nie zajmuje się nią bliżej p. Edmund Misiołek, który w tymże zeszycie *Verbum* charakteryzuje poezję autora *Trzech zim*, porównując ją m. in. z utworami W. Bąka na korzyść tego ostatniego. Bąk to „groźny sędzia nad życiem, Jeremiasz współczesności” (czy nie ma w tym jednak nieco egzageracji?). *Trzy zimy* natomiast „same w sobie” (2) to „dramat poety, który zabrawł w impas estetyzmu i witalizmu, dramat człowieka, który uwierzył w szczęście i zawierzył krwi, zaplał się w gąszcz zmysłów”.

Z innych pozycji nowego zeszycu *Verbum* należy wymienić dłuższy artykuł Marii Morstin-Górskiej o Sygrydzie Undset i bardzo ciekawą pracę R. M. Blütha „Załamanie się mitu bolszewickiego” (na marginesie ostatnich książek André Gide'a).

Podkreślaliśmy niejednokrotnie na tym miejscu, iż jednym z dotkliwych braków naszej kultury umysłowej jest brak poważniejszych rozrządzeń z dziedziny moralności. Zaznaczaliśmy też, iż lukę tę stara się wypełnić miesięcznik *Wiedza i życie*. W nowym (10) zeszycie tego świętego czasopisma znajdujemy aż dwie pozycje dotyczące zagadnień etycznych. Dr Maria Ossowska ogłasza zajmujący i cenny szkic „Jakie zadania ma przed sobą badacz moralności”; wyodrębnia w nim bardzo jasno i precyzyjnie *etyka*, uprawiającą *działalność praktyczną*, i *badacza moralności*, który nie ustala ani nie propaguje jakichś norm etycznych, lecz tylko ustala i analizuje faktyczny stan rzeczy w dziedzinie swej specjalności. Badacz moralności ma przed sobą trzy grupy zagadnień: rozpatrywanie scen moralnych z logicznego punktu widzenia, następnie — ze stanowiska psychologii, i wreszcie — z punktu widzenia socjologii.

Bardzo oryginalnie pomyślana i ujęta praca ogłasza w tymże zeszycie *Wiedza i życie* autor, podpisujący się: Z. Drogosław. Jest to rzecz o „obowiązkach człowieka i obywatela”, próba uzupełnienia tablicy „praw naturalnych”, ogłoszonej przez rewolucję francuską. W pięciu „przykazaniach” dla „człowieka” i „szczęściu dla „obywatela” zawiera się podstawowy dekalog, normujący porządek moralny cywilizacji nowoczesnej. Pewna abstrakcyjność tych sformułowań zmniejsza nieco ich walor praktyczny (pomijając już sporną kwestię, czy zgadzamy się na antropocentryczny i optymistyczny stanowisko etyki laickiej); tym niemniej rzecz „o obowiązkach” ma na tle współczesnej posuchy intelektualnej znaczenie ożywcze, choćby jako materiał do dyskusji i samodzielnego przemysłu.

W *Przeglądzie Współczesnym* z grudnia znajdujemy jak zwykle dużo ciekawych i cennych artykułów. Z dziedziny sztuki i literatury wymienimy: Macieja Loreta „Barwa i światło w malarstwie weneckim XVI wieku”, Ignacego Chrzanowskiego „Stanisław Tarnowski”, Tadeusza Kudlińskiego „Za kulismani powieści” (o problemach kompozycji powieściowej, m. in. o t. zw. symultaniczności), Jana Kotta „Poetyckie profile” (interesujące recenzje z tomików Piechala, Hlakowiczówny i in.), Karol Irzykowski ogłasza dalszą serię swych aforyzmów, z których niektóre pamiętamy z rocznika *Życie sztuki*, inne czytamy po raz pierwszy.

Lwowski *Sygnal* z dn. 1 grudnia ogłosił „wielki (sic) konkurs poetycki” z nagrodami pieniężnymi wynoszącymi w sumie 300 zł. W konkursie mogą brać udział autorzy, który nie ogłosili jeszcze tomu poezji w formie książki. Utwory, nie przekraczające rozmiarów stu wierszy, opatrzone godłem, należy przesyłać do dnia 25 stycznia roku przyszłego. Do każdego utworu należy dołączyć dwa kolejne kupony zamieszczone w grudniowym i styczniowym numerze *Sygnalu*.

Jury konkursu stanowią: Władysław Broniewski, Tadeusz Hollender, Ośtap Ortwin, Julian Tuwim, K. W. Zawodźniński. Wypada tylko wyrazić obawę, by zwycięzca „turnieju” nie został epigon skamandrycki, jakis nowy Bąk w czerwonym sosie pomidorowym.

## List do Redakcji

Szanowna Redakcjo!

W związku z listem ogłoszonym przez prof. dr. Olgierda Górkę w *Pionie* V. 43 (numer ten dopiero dzisiaj otrzymałem) komunikuję co następuje:

1. Mnie jest twierdzenie prof. Górki, jakoby nie poruszył ani słowem sprawy stosunku Sienkiewicza do Encyklopedii oraz wpływu Bartoszewicza na sgdę i ujęcie spraw w *Ogniem i mieczem*. Rzecz się ma właściwie tak, że to prof. Górka dotąd ani słowem nie odpowiedział na moje uwagi w tej mierze, wypowiedziane najpierw w *Pamiętniku literackim* z 1935 roku (obszerny artykuł *Prace o Sienkiewiczu*), następnie w kilku innych pismach, wreszcie zaś w rozprawie *Masagety i znak paragrafu*, gdzie nie tylko piszę obszernie o Bartoszewiczu, ale też wskazuje wiele różnych dzieł, z których Sienkiewicz (poza Kubalą i Encyklopedią) czerpał, tworząc *Ogniem i mieczem*. Tam też, między innymi, o balilem twierdzenie prof. Górki, jakoby Sienkiewiczowi nie były znane poglądy Szujskiego i Bobrzyńskiego, oraz jakoby zasada „pokropienia serc” była przez Sienkiewicza powzięta dopiero „ex-posteriori”.

2. Stwierdzenie, że Sienkiewicz nie chciał ukończyć uniwersytetu rosyjskiego i nie ubiegał się o tytuły szlacheckie, bynajmniej nie miało na celu „gloryfikacji”. Samo pojęcie jakiegokolwiek „gloryfikacji” tego czy innego pisarza obce mi jest w zupełności; nigdy w życiu nie pisałem nikomu panegiryków.

3. Czytania „Górkolokii” nikomu nie broń. Zresztą i bez rekomendacji ze strony prof. Górki zdobyła sobie ona licznych czytelników w Polsce i poza Polską; ci jednak, jak świadczą ich głosy, niekoniecznie wyrobili sobie takie mniemania, jakie im narzucił pragnie prof. Górka.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Prof. Dr. Józef Birkenmajer

Chicago, Illinois, 13 listopada 1937.

Z artystycznych zdobyczy kinematografii ostatnich czasów wymienić należy kinofonie. Przed dwoma laty powstała we Francji myśl zastosowania utworu muzycznego jako scenariusza. Sięgnięto nie tylko do utworów programowych, które zupełnie wyraźnie dyktują szkielet scenariusza filmowego, ale użyto również kompozycji bardziej abstrakcyjnych. Kinofoniczna krótkometrażówka stworzona np. na podstawie *Fantastyjki* Karola Szymanowskiego. Treść utworu muzycznego oscyluje wokół pięknego mitu greckiego o Aretuzie. Na ekranie przewija się więc cała legenda grecka, zupełnie jednak zsynchronizowana z rytmem i melodią muzyki Szymanowskiego. Perliste pasaży tego pięknego utworu mają swój odpowiednik na ekranie w spadających kropkach fontanny greckiej. Oryginalność tego pomysłu leży w szacunku dla utworu muzycznego, który wykonuje się w całości i w pierwszorzędny sposób wykonaniu. Niestety piękne to dzieło kinofoniczne nie zostało wpiszone do Polski ze względu na cenzurę... boginka tańczy nago.

Z wielką więc radością powitaliśmy próby naszych krótkometrażowców. W kinie Victoria w Warszawie wyświetla się obecnie próba realizacji filmowej (trzech etud) Chopina, dokonana przez najmuzykalniejszego chyba filmowca polskiego, Cękalskiego. Każda z trzech etud jest inaczej realizowana. Jedna daje nam na ekranie abstrakcyjny obraz etudy. Migają nam pasy, kresy, kule,

kropki, wszystko zwrarte w doskonałą konstrukcję filmową, podkrytowaną utworem Chopina. Zdawałoby się, że kombinacja geometrycznych i stereometrycznych figur stanie się naszym widokiem, jednakże okazało się, że dusza artysty-filmowca może znaleźć materiał dla swej wypowiedzi i w tej, tak suchej materii.

Druga etuda została zobrażowana tańcem Sławskiej. Zasadniczy nowości ten pomysł nie wprowadza. Kompozycja tańca jest nawet dość słabą interpretacją muzyki Chopina.

Trzecia etuda została zbudowana na założeniu: „rytm muzyki, rytm przyrody”. Słynną etudę rewolucyjną interpretuje Cękalski, przesuwając przed naszymi oczami szybko sunące zwalę chmur, gwałtowne chwianie się drzew, błyskawicznie przesunięcia obiektu od czubka drzewa do korzeni. Silniejsze akordy akcentuje filmowiec silnymi wytryskami wody, spowodowanymi wyluchami rzucanego na wodę granatu.

Pomysł tej etudy jest chyba najlepszy z trzech zdemontrowanych, jednak nie zawsze posłuszne były reżyserowi fragmenty przyrody. Krople spadały za późno w stosunku do przebrzmiewającego akordu, chmury pędziły w nieco za szybkim rytmie.

Z radością witamy „wysilkim” awangardy filmowej. Osiągnięcie Cękalskiego należy zaliczyć do piękniejszych w polskiej kinematografii artystycznej.

J. K.

## Z TOMU PT. „TŁUMACZONE NA WERSZE“

NAPALONO W PIECU

Ten kąt pokoju był martwy przez całe lato,  
Niepotrzebny, niezamieszkały kąt.  
Aż przyszła pierwsza wilość. I pierwszy katar.  
I szron, co płynnym srebrem drzewa natarł.  
I ożył pusty kąt.  
Kot doszedł leniwie, wsunął łapę w popielnik, —  
Wygodny, aksamitno-skóry łot.  
Grota pieca żarem wypchna doszczelnie  
Ciepłym oddechem obojętą kątów wypełnia.  
Cieszy się miękki kot.  
Biegnie na środek pokoju różowa luna,  
Znow się czoła — półkolem kładzie pod piec.  
„Dobry wieczór!” orzekł domowy trybunał.  
Wszystkie ściany połczył — zbliżył — przysunął  
Ważny, potrzebny piec.

TALERZ ZUPY

Obrus jest chłodu nakrochmaloną tafel.  
Łyżka odpowiada zimnemu dotknięciu rąk.  
Zimne są łyżki szczy. I biały uchlarz.  
Mgły na tych twarzących szczybach.

Brązowy krąg  
Zupy, w białym pierścieniu talerza drżący,  
Ten jeden — w całym świecie jeden — jest gorący.  
Czekaj. Czekaj dostojnie i lśni dobratliwie.  
Zeńby: awsem, obiad spóźniony, ale mamy czas.  
Ciepły jest zapach. Ciepło w parę wlotnym skłknie.  
W okach tuszczu ugrzązł złością blask.  
Zupa. Kredens i krzesła — to są detale.  
Pokoł jest pusty. W pokoju jest tylko dymiący talerz.

(Z cyklu „Godzieln”)

XENIA ŻYTOMIRSKA

## NOWY PLAN LOTERII KLASOWEJ

Od Dyrektora Polskiego Monopoli Loteryjnego otrzyaliśmy następujący komunikat:

Nawiązując do wyjaśnienia udzielonego prasie przed kilku dniami doszedłem do przekonania, że do pewnego stopnia można pogodzić dążenia graczy obu rodzajów, mianowicie powiększając ilość wygranych kosztem ich wysokości, zachować jednak możliwość wygrania na jeden los większą kwotę. Polega to na tym, że, zachowując wysokość dotychczasowych wygranych, a nawet po części je podwyższając, dzieli się los na większą ilość części z tym jednak, że cena części losu nie będzie zmieniona. W 41 wiec loterii los podzielony będzie na 5 części. Każda część kosztować będzie 10 zł. Ogólna ilość losów zmniejszona będzie ze 195.000 do 160.000. Wygrana milion złotych jest zachowana. Główna wygrana I-tej klasy wynosić będzie 100.000 zł, w II — 125.000, w III-tej — 150.000. W ten sposób na jedną część losu przypadnie wygrana mniejsza: w IV-tej klasie zamiast 250.000 — 200.000 zł, w I-tej klasie zamiast 25.000 zł. 20.000, w II klasie 25.000 zł. bez zmiany, w III klasie zamiast 25.000 —

30.000 zł., ale z drugiej strony zamiast jak dotychczas czterech wygrających, będzie ich pięciu. Szanse wygrania zatem dla wszystkich graczy powiększają się o 25%.

Oczywiście najniższa wygrana powiększona jest do 62.50 zł., tak aby po potrąceniu 20% odpowiadającej ona cenie losu do klasy następnej. W ten sposób więc powiększona zostaje ilość wygranych, a z nią i szanse wygrania, a jednocześnie pozostawia się możliwość wygrania całego miliona — 100.000, a nawet 125.000 i 150.000 zł. Jeżeli więc ktoś chce wygrać większą sumę może wziąć wszystkie 5 części losu.

Nie dąłoby się tego drugiego osiągnąć prostym rozbiorem wygranych na mniejsze kwoty. Mam wrażenie, że tym nowym sposobem zadowolni się jeżeli nie wszystkich graczy, to w każdym razie znaczny ich część. Z tą myślą wprowadza się na próbę ten nowy system oparty na zasadzie, iż większa ilość wygranych, zachowując się jednocześnie możliwość wygrania większych sum.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisy nadesłanych nie zwraca się.  
Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Józef Czechowicz

WYDAWCA: Tow. Wyd. „Droga” Sp. z o. o.